

Dodatek do „Gazety Narodowej”

z dnia 2. Maja 1897.

Ideaty życiowe.

VI.

To, czego nieustannie pragniemy, czego w rzeczywistości nigdy nie mamy dosyć, a czego niezachwianie spodziewamy się od jutra; to — czego stracamy opłakująco najgoręcej i za czym wzdychamy gdy minie, to — ma być szczęściem...

Pod pewnym względem dusza ludzka podobna jest do ptaka. „Dokonałość” tworzy jedno jego skrzydło, „użyteczność” — drugie skrzydło, ale sam ptak jest — niemaszonym pożądanym szczęściem. Zebrał i monarcho, dogorywający starzec i młodzian, który dopiero w świat wstępuje, zwycięzca w wigilię tryumfu i skazaniec, któremu za oknem budują szafot, każdy z nich przepełniony jest żądzą szczęścia.

A jednak czy jest coś bardziej znikomego aniżeli to widmo, które uważamy za najwyższe uniesienie szczęścia?... Niezawodnie wygląda go przez całe lata, a widzimy (i to jeszcze w masie na obłoczku) ledwie przez sekundy, aby na nowo rozpocząć oczekiwanie pełne nadziei i tęsknot. W każdym razie trzeba przypatrzeć się tej wielkiej, tej najświeższej sprężynie ludzkiego życia. Trzeba poznać ją przedewszystkiem w ogólnych zarysach, nim zobaczymy jej działania na rozmaitych polach i zrozumiemy jej rzeczywistą rolę.

W każdym przedmiocie: w kamieniu, roślinie, zwierzęciu, człowieku, społeczeństwie zachodzą ciągle młot lub więcej głębokie zmiany. O ile zmiany te są pomyślnie dla danego osobnika, nazywamy je „szczęściem”, jak niepomyślnie — „nieszczęściem”. Gdzieś, w głębi kilkunastu łokci pod ziemią leży kamień, który od tysięcy lat nie był poruszony, nie ulegał zmianom temperatury, nie stykał się z niczem, nie widział światła. Nagle — wykopują go, wyrzucają na powierzchnię ziemi i ów martwy czy spiący dotychczas kamień — obudził się. Nieustannie opływa go strumień powietrza, osiada na nim wilgoć, promienie światła nadają mu kolor i połysk, zmieniają się temperatura rozszerza go i kurczy. Krótko mówiąc, kamień poczuł jakby żył: ulega ciągłym zmianom. A ponieważ zmiany te (rozumie się ze stanowiska ludzkiego) są dla niego pomyślnymi więc możemy powiedzieć, że: wykopany kamień jest szczęśliwszym aniżeli zakopany.

Oto jest roślina prawie zwiędła, ponieważ siedzi w suchym piasku, chłodzie i ciemności. Przesadzamy ją w urodzajną ziemię, podlewamy, wynosimy na letnie słońce i — roślina budzi się. Jej listki nabierają sprężystości, żywej barwy i blasku; poczynają wyrastać nowe gałązki a z nich kwiaty i owoce... Słowem — mamy cały szereg zmian pomyślnych, dzięki którym, roślinę możemy nazwać szczęśliwą.

Gdybyśmy jej dali nadmiar wody, zbyt wysoką temperaturę, gdybyśmy trzymali ją w atmosferze czystego azotu, albo poddali kwasem siarczanym, roślina zwiędłaby, zaczęłaby gnić. Byłaby nieszczęśliwa.

Jest to rzecz ciekawa i doniosła, że w przedmiotach zarówno martwych jak i żyjących pojęcie szczęścia ściśle odpowiada doskonałości, a pojęcie nieszczęścia — psuici. Dopiero w istotach czujących, a przedewszystkiem w człowieku, z tak zwanym szczęściem łączy się „przyjemność”, a z nieszczęściem — „przykrość”. I to jest ciekawe, że „przyjemność” i „przykrość” do pewnego stopnia zasilają człowieka właściwie szczęście. Człowiek nie dba o to: czy doskonały jest, czy rozwija się? — a więc czy jest naprawdę szczęśliwym, ale tylko o to: czy doznaje przyjemności i czy unika wszelkiej przykrości? Duchowa równowaga, spokojny rozwój, szczególnie w tym zdenerwowanym wieku, niewiele posiadają „zwinne wrażliwe”. Panującą hasłem jest: „silne wrażenie” i „bardzo silne wrażenie” w postaci uniesień erotycznych, morfinistycznych i t. p.

Jeżeli tak dalej pójdzie, możemy usłyszeć o ludziach, którzy wyczerpawszy całą klawiaturę przyjemności, a wciąż pociągając głodem wrażeń, poczną zadawać sobie... najboleśniejsze udręczenia!... Gdy zobojętnieje miłość i narkotyki, zostają jeszcze stalowe koła, roztopiony ołów, szkło tłuczone i im podobne „podniety”. Łatwo pojąć, że człowiek zdrowy fizycznie i moralnie nie będzie szukał w życiu tylko „silnych wrażeń”, lecz „szczęścia doskonałego”, o ile mu na to pozwoli jego duchowa dojrzałość, no — i otoczenie.

Jakże więc wygląda owo „szczęście doskonałe”? Najprzód — jak już wiemy z IV. i V. rozdziału — szczęście

doskonale musi być jasne i wyraźne. Nie można więc myśleć o „nasyconiu głodnym” — zaparciem się i cnotą”, o kapaniu brudasów „w czystym źródle oświaty i sztuki”. Również nie można „rozpyliwać się czy rozciągać w spojreniu czy przy boku ukochanej kobiety”. Albowiem głód wymaga chleba i mięsa, brud wody i mydła, a miłość — całej kobiety nie zaś jej „boku” lub „spojrzenia”.

Dalej — szczęście, ażeby było doskonałym, musi opierać się na śródkach ważnych i poważnych. Dla szczęścia w miłości nie wystarczy: śliczny uśmiech, delikatny uścisk ręki i t. d. Dla szczęścia narodów nie wystarczy poezja, a choćby nawet wszystkie sztuki piękne razem wzięte. Ważny to przepis. Kiedy bowiem zdrowy mężczyzna potrzebuje kobiety, rozmaitym neurastenikom już wystarczy jej szata, ba! nawet watażka albo kwiatek. A kiedy zdrowy patrytyzm myśli o higienie, o porządnej pracy, dobrobycie, o wspieraniu się i t. d. chorobliwemu najpierw trzeba posagów.

Doskonałe szczęście wymaga również: zjednoczonej rozmaitości albo urozmaiconej jednostki. Zle uczyniłby ten, kto w tym samym czasie chciałby: jeździć konno, grać w szachy, strzelać do tarczy i słuchać koncertu. Nie mniej źle robiłby ten, kto idąc na spacer „dla wyprostowania nóg”, zasłoniłby sobie oczy i zatkał uszy, aby nie przeszkadzały nogom. Roztropnie więc czyni ten, kto kojarzy różne, ale zgodne postacie szczęścia. Jedząc — nasyca się widokiem kwiatów, muzyką i rozmową; spacerując — przypatruje się krajobrazom i rozmawia z ludźmi, o ile ci mają do tego czas i ochotę.

Wybornym przykładem zjednoczonej rozmaitości jest gromadka ludzi, którzy razem tańczą, uczą się, przechadzają, gimnastykują się itp.

Innym warunkiem doskonałego szczęścia jest harmonia i proporcja. Jeżeli ktoś trzyma ciemne i ciemne mieszkanie, ażeby kupić sobie drogie sprzęty, jeżeli ktoś karmi się niedzielną, ażeby posiadać kosztowną porcelanę, ten wykracza przeciwko zasadzie „proporcji w szczęściu”. Gdy zaś podczas uczty rozmawia się np. o chorobach żołądkowych, gdy wybiera się z poscielą na polowanie, gdy kobiety, zamiast w pracy i gospodarstwie, szukają rozrywki w polityce, albo mężczyźni w karmieniu dzieci, wówczas mają miejsce wykroczenia przeciw „harmonii”.

Innym warunkiem doskonałego szczęścia jest porządek. I człowiek i społeczeństwo mają mnóstwo potrzeb, które należy zaspokajać nie według upodobań i kapryśności, ale — pewnej naturalnej kolei. Np. muzyka i brylanty są pięknymi rzeczami, porządek jednakże wymaga, ażeby — przed brylantami myślane o chlebie, a przed muzyką — o umyściu się. Podobnie w społeczeństwie sport i sztuki piękne muszą być pielęgnowane jako źródło wielu rodzajów przyjemności a nawet udoskonalenia. Lecz naturalny porządek wymaga, aby — przedewszystkiem rozwijano pracę, instynkt społeczny i wiedzę. Sztuka bowiem jest kwiat, który wyrasta z pełnego życia.

Lecz gdy zerwie z życiem i jego realnymi wyznacznikami, może stać się kwiatem bardzo pięknym, ale bezpodatnym. Może robić przyjemność swoim adeptom, lecz bynajmniej nie wpłynie na rozwój ludzi i całego społeczeństwa.

To co dotychczas powiedzieliśmy, jeszcze nie wyczerpuje warunków szczęścia. W każdym razie upoważnia do następujących wniosków: że „przyjemność” nie jest najwyższą miarą szczęścia: niekiedy bowiem największe przyjemności rujnują życie. że szczęście doskonałe nie może być burzą i chaosem wzruszeń, ale jak zresztą wszystko na świecie, musi ulegać pewnym prawom, musi być ujęte w jakiś ład i porządek.

Bolesław Prus.

Towarzystwa wstrzemięzliwości w Anglii.

Gdy prawodawstwa państw świata ucywilizowanego obmyślały oraz to swoje środki przeciwko szeregającym się pijanistwom, Anglia, jak przystało na klasyczną krainę samopomocy zbiorowej, w walce z alkoholem, tym wrogiem zdrowia i moralności publicznej, oddawała przeniosła punkt ciężkości na akcyę odporną na podstaw, w łonie samego społeczeństwa. Rychło znalazł się liczny zastęp pionierów umiarkowania, ożywionych wspólną ideą społecznego dobra. Niebawem też podzielił się w wielką skalę zorganizowane

towarzystwa wstrzemięzliwości, których działalność niemało poczynających zawiera szczegółów.

Najbardziej rozpowszechnione jest dziś t. zw. Towarzystwo wstrzemięzliwości kościoła anglikańskiego (*The Church of England Temperance Society*), liczące około 600.000 członków. Towarzystwo to zwróciło szczególną uwagę na moralną poprawę ludzi, popchniętych przez nieszczęśliwy nałóg na lawę oskarżonych. Utrzymuje ono, zwłaszcza przy sądach poprawczych, stałych swych misjonarzy (*police-court missionaries*), należących do tej godności przygotowanych i cieszących się zupełnym zaufaniem sędziów i policyj. Misjonarze ci składają poręczenia za posadanych, szukają dla nich zajęcia, zwracają małoletnich przestępców rodzicom lub też oddają ich do szkół, godzą zwaśnionych małżonków, stając się zarazem wymódz na nich obywateli zupełnej wstrzemięzliwości i t. p.

Rankiem, przed rozpoczęciem czynności w sądach, misjonarz uwrót wiążących oczekuje na tych, którym po odbyciu kary wrócono wolność: biedacy, opuszczeni przez wszystkich krewnych i znajomych, dostają odzieży, pokarm i przytułek w jednym z domów zarobkowych Towarzystwa, a jeśli są zdolni i chętni do pracy, łatwo otrzymają mogą z rekomendacy misjonarza stałe zajęcia i utrzymanie.

Oto kilka cyfr, świadczących o działalności owych misjonarzy sądowych w jednej tylko dystrykcie londyńskiej w ciągu roku 1894: od 1.524 osób otrzymano zobowiązania na piśmie, że więcej używać nie będą żadnych spirytualów; odwiedzone 12.754 posadanych i 843 razy wizytowano więźniów i aresztów; 2.235 osobom dostarczono pracy lub zwrócono je rodzicom; 1.145 posadanych przywrócono wolność przez poręczenia; 1.023 kobiet i dziewcząt uchroniono od upadku; 1.747 alkoholicek oddano pod opiekę misjonarek; wydano 1.160 ubrań i pościeli; 368 chłopów oddano do krewnych lub do ochronek; 15.855 osobom dano zapomogi pieniężne; napisano 4.704 listów w interesie oskarżonych itp.

Oprócz misjonarzy sądowych Towarzystwo zorganizowało również oddziały misjonarzy, zwiędających wyścigi, jarmarki, zebrań itp. W roku 1894 oddziałów w samym Londynie rozdał około 100.000 broszur i odezw. Nadto filie prowincjonalne Towarzystwa urządzają w całej Anglii odczyty publiczne oraz zgromadzenia dla omówienia spraw religijnych, społecznych, naukowych, zawsze jednak w związku z kwestyą alkoholizmu.

Ostatnimi czasy Towarzystwo zyskało ogromną pomoc ze strony nader licznych Towarzystwa damskiego wstrzemięzliwości, tak zwan. *Woman's Union*.

Przed 50 laty członkowie Towarzystwa anglikańskiego, przyszedłszy do wniosku, że zmusiło nalogowego pijaka do wyrzucenia się trunek jest znacznie trudniej, niż uchronić od pijactwa osobniki całkiem zdrowe, powzięli zamiar przeniesienia działalności na młodsze szkolną, przez zaszczepianie jej z fizycznymi i moralnymi skutkami pijactwa.

Powstał stąd t. zw. *Band of Hope*, czyli Związek nadziei, którego organizacja polegała na następujących zasadach: za zgodą rodziców, od dzieci w wieku szkolnym odbierają uroczystą obietnicę i podpis na wyrzucenie się mocnych trunków; dzieci wnoszą składkę (około 2 ot. tygodniowo) i po upływie miesiąca, w razie dotrzymania obietnicy, otrzymują ozdobyne bilety członkowskie, po trzech zaś miesiącach — piękny znaczek na wstępie niebieskiej do noszenia na piersiach.

Obecnie „Związek nadziei” w Anglii istnieje około 21.400, a do grona ich członków należy około 2.357.000 dzieci i 70.000 kierowników. Członkowie związku zbierają się zwykle co tydzień w jakiejś sali publicznej lub w szkole, gdzie słuchają odczytów lub też oglądają obrazy niktające na temat wstrzemięzliwości, wreszcie bawią się wspólnie, śpiewają itp.

Towarzystwo wstrzemięzliwości utrzymuje 17 lektorów, którzy stale odwiedzają wszystkie związki na prowincyi. W ciągu ostatnich lat sześciu mieli oni 15.784 odczytów, których słuchało około 1.800.000 uczniów 162.000 nauczycieli.

Przed sezonem.

Najłatwiej zapominamy o rzeczach najprostszych, a więc i przypominając we właściwym czasie rzeczy najprostszych, największe w gospodarce codziennego życia oddawać może udu-

gi. O czym zaś przypominąć i można należyć „przed sezonem”? Oczywiście o odpoczynku. „Wyjeżdżasz na lato?” „Nie”. „Dlaczego?” „Nie mogę”. Coż częściej wśród inteligencji miejskiej słychać takie odpowiedzi. Więc zajrzymy na chwilę do świeżo wydanej książki „Kształcenie woli” Juliusza Payota, który przypomni nam rzecz starą jak świat, prostą a jednak wciąż zapomnianą — potrzebę odpoczynku.

Znajdziemy w tej książce argumenty następujące, które ojciec rodzin powinny sobie odświeżyć w pamięci, ci zwłaszcza, na których pracy i życiu opiera się byt ognisk domowych. Odpoczywanie nie jest lenistwem. Lenistwo nie daje się nawet pogodzić ze spoczynkiem, bo spoczynek każe do myślenia się pracy uprzedniej i, jeżeli nie zużycia, to przynajmniej potrzeby nabrania sił. Nigdy lenitach nie kosztuje dobrze zasłużonego spoczynku, jeżeli bowiem — jak mówi Pascal — przyjemnością chłodu jest rozgrzewanie się, to przyjemnością pracy jest wypoczynek. Spoczynek bez pracy, któryby go uczynił niezbędnym, to próżniactwo z jego posępną nudą. Spoczynkiem pełnym chwały — prawi Ruskin — jest spoczynek wielbłąda, który zdyszan kładzie się na swem łożu granitowym, nie zaś spoczynek wółu w oborze, przeżuającego paszę.

Nie wolno bez krzywdy dla organizmu pracować bez przerwy. Stare porównanie umysłu do łuku, który przez stałe naciąganie traci ostrość, jest wszelką siłą, które ciśnie. Praca bez naturalnego swego wynagrodzenia, którym jest spoczynek, staje się paśszczyną. Nawet dla przetwarzania wiadomości nabytych, dla ich rozwoju i owocności należy pozostawiać czas pewien pomiędzy takimi pracami. Wypoczynek taki jest prostopu czystym zyskiem dla pracy samej; istotnie, robota umysłowa nie odbywa się bez pewnej pracy ożywionej w ośrodkach nerwowych, nadzwrot zaś ożywiona praca ośrodków nerwowych, nawet wtedy, gdy jej nie towarzyszy świadomość, częstokroć postuwa napróżd nasze poszukiwania umysłowe. Otóż kiedy praca umysłowa kończy się, działalność ośrodków nerwowych nie zaraz ustaje i praca bezwiedna odbywa się dalej i ostatecznie korzysta z tego utrwalenie i urabianie się wspomnień.

Nie dosyć jeszcze mówiono o nieodpowiedzi spoczynku dla pracy. Jakże słusznie powiada Töpffer: „Należy pracować, przyjaźnić, a później nie robić nic, zabijać ludzi, odstępną świeżem powietrzem, powłóczyć się, gdyż w ten tylko sposób przetwarzamy to, czegośmy się nauczyli, obserwujemy i łączymy naturę z życiem, nie zaś tylko z pamięcią”.

Nie należy jednak dążyć do wypoczynku, jako do celu. Jest on i powinien być jedynie środkiem ożywienia energii naszej. Istnieje wiele sposobów wypoczyniania, zaś wybór rozrywki nie może być obojętnym dla tego, kto chce wzmocnić energię swoją. Znamieniem istotnem dobrej rozrywki powinno być przyspieszenie krążenia i rytmu oddechowego, szczególnie zaś wywołanie rozległej pracy klatki piersiowej, kręgosłupa i mięśni żołądka, wreszcie wytworzenie dla warunku. Warunki takie zniewalają nas do stanowczego wygnania gier w karty, szachy i w ogólności wszelkich zabaw, którym oddajemy się w miejscach zamkniętych, w powietrzu przesiąkniętym dymem tytoniowym i słabo oświetlanem. Przeciwnie chodzenie po polach otwartych, włożenie się po lasach wypielniac część programu, zalecanego przez higienę ciała i umysłu. Do tego dodać należy najświeższe z owoców oddechowych — wiosłowanie i ogrodnictwo z bardzo rozmaitymi ruchami, których wymaga.

Energia woli, upartej woli każe domyślać się możliwości wysiłków długich. Otóż bez zdrowia nie ma wysiłków trwałych, a nie ma zdrowia bez wypoczynku. „Ktokolwiek nie jest geometrą, nie wejdzie tutaj” — mawiał Plato; nikt „nie wejdzie tutaj”, powiedzieliśmy chętnie, kto nie słucha dowodzących praw higieny cielesnej i umysłowej. Wypoczywamy tedy, gdy pora nadejdzie właściwa, aby dostarczyć woli naszej zasobów energii fizycznej, bez których wszelki wysiłek jakiegokolwiek rodzaju pozostaje kruchym i jałowym.

Tyle słów przypominania — przed sezonem.

PANI PORADOWSKA.

Paryski korespondent *Kraju*, podpisując się „Wierzbęta”, drukuje swój interwju z panią Poradowską.

Pod Nr. 84 w rue de Passy, dowia-

dują się od odzwierne, że panią Poradowską zastanę w domu, na podpiętrzku (*entresol*) na prawo, ale, że nie jest to dzień jej przyjęć, więc odezwę się chyba musiała od pracy. Oświadczeniem, że mimo to szczęścia spróbuję, zyskując sobie niechętnie spojrzenie pani odzwiernej, świadczące, że pani Poradowska należy do rzadkich, co są prorokami nawet we własnym domu.

Udało się: pani Poradowska odrywa się od pracy i przyjmuje mnie w apartamencie, złożonym z dwóch pokoi. Pierwszy — salonik, (jakże go określić?) powiedzmy małutki salonik, urządzony z wytwornym i nawskręś kobiecym smakiem; z mnóstwa ozdób zwraca mą uwagę przedewszystkiem portret pani domu, pędzla Leonarda Schaekena i śliczne jej popiersie z czasów panieńskich, którem chlubił się winien belgijski rzeźbiarz Tomasz Vincotte. Salonik widny, przecięt przez drzwi otwarte tłoczy się weń wielką strugą światła z pracowni, zalanej słońcem, patrzącej latarnią okien w ogród z narożnika domu; pośrodku pracowni stół wielki, zarzucony całym papierami, przed stołem półokrągłe krzesło patrzy na mnie z wyrzutem, a z kalamarza nachylone pióro grozi mi i przypomina, że to do niego czas pani domu należał.

W saloniku przyjmuję mnie pani Poradowska. Po kilku wymienionych słowach ma się wrażenie nie zawarcia nowej, nader miłej znajomości, ale wznowienia raczej dawnych, przyjacielskich i zażyłych stosunków. W obejściu i ruchach tyle prostoty, taki brak wszelkiego wymuszania, a we wzroku i głosie tyle żywej szczerości, że rozmowa przybiera natychmiast charakter żywej pogadanki i toczy się naturalnie w tonie niemal poufality. Ale na dnie zamglonej żrenicy dostrzegam jeszcze ślady zamyślenia, szeroko otwarte oko zachowało jeszcze nieco tej stywności, która u pracujących umysłowo ustępuje dopiero zwolna, gdy ich oderwa od natężającej, tworzącej roboty, więc odkładając, tworząc interwju do chwili, kiedy myśl autorki odczepi się do reszty od przerwanej pracy i zapytuje tylko:

— Czy wolno wiedzieć, nad czem pani obecnie pracuje?

— Nad nową powieścią dla *Revue des deux mondes*.

— Na temacie polskim?

— Jak zwykle. Ja lubię obracać się myślą w tych stosunkach, publiczność okazuje w nich wielkie upodobanie, więc czemu zmieniać? Nowa ma powieść toczy się w Krakowskim, bliżej już granicy węgierskiej, w okolicach, które poznałam między Nowym Targiem a Nowym Sączem; w powieści nazywam to „Nowy”, nie określając bliżej. Dla moich powieści obieram zawsze jako miejsce akcyi miejscowości, które znam dobrze, bo tylko malując z natury, dać można wrażenie prawdy. Przedstawiam miejscowości typy: *des podhalans, des gorales, des slovaques* (razmowa toczy się po francusku) i dać będą się starała wyobrażenie o życiu urzędników i szlachty.

— Od jak dawna zajmuje się pani stosunkami polskimi?

— Od wyjeżdża za mąż.

— To prawda, że w domu rodziców w Lille, w domu uczonego ojca pani, filologa i paleografa Gachet, wojce pani zapewne słyszała o starożytnych egipcjanach, niż o podhalanach — wtrącając, by okazać, że szeregowały te są mi znane — więc z mężem zrobiła pani wyieczek do Galii?

— Bawiam w różnych okolicach Galii lat 8, byłam również w Królestwie a pod koniec mego pobytu, spędziłam dłuższy czas na Woli pod Krakowem, u ks. Marceliny Czartoryskiej, skąd jak najmilsze wywozłam wspomnienia.

— Czy tylko z Woli? czy wogóle z kraju?

— Wogóle z kraju. Ośmioletni mój pobyt w Galii wywarł na mnie silne wrażenie: tyle widzi się tam rzeczy nowych, oryginalnych, zajmujących i malowniczych.

— A co panią uderzyło najświeżiej w naszych stosunkach?

— Wytworna wykulturowaność polskiego towarzystwa — odparła pani Poradowska prawie bez namysłu — mam wrażenie, że tam przechowało się wiele dobrych stron francuskiego społeczeństwa, które nikną we Francji coraz więcej. Niezawodnie sam tam, jakby przeniesiona do Francji w pełny wiek XVIII, nawet może raczej koniec XVII, w czasy regencji. Grzeszoność np. i szacunek wobec kobiet...

— Bardzo się cieszę, że pani sama o to potraciła, bo to właśnie jest jednym z celów mojej wizyty. Chciałabym usłyszeć od pani jej zdanie o stosunku kobiety u nas a we Francji. Mówiono mi wiele w tych dniach o

upóźdzeniu kobiet we Francji, o budzącem się coraz bardziej przeświadczeniu, że dola jej winna być polepszona, o ruchu feministycznym i ochłodem...

— Ależ to pan ile się do mnie wybrał, ja się nie a nie temi rzeczami nie zajmuję, nie ciekawego pannu nie powiem. Mojem zdaniem, kobieta siedzieć powinna w domu cicho i spokojnie i pilnować rodziny. Sama sobie nieraz stawiam pytanie, czy pisząc, nie wdaję się w nie swoje rzeczy.

— Mnie idzie o stronę zwyczajową i prawną.

— Prawną? o to się żądza francuzka nie troszczy, to przeciwnie naszym tradycjom, naszym charakterowi. Francuzka wie, że na to, by mieć wpływ, nie być upóźdzoną, ożo się pania, nie potrzebuje zaglądać do kodeksu. Czego tam szukać? Im mniej ma kobiety praw, tem więcej szacunku i wpływu! Nie ustawami, inną drogą, umie francuzka cel swój osiągnąć i utrwalił swe stanowisko.

— A jednak ruch ten istnieje.

— Pchają nas w tym kierunku uduziemki, ale są to usiłowania pienne. Kobieta inne ma zadanie. Ma również inne środki, by polepszyć swą dolę. Może w otoczeniu swem pracować nad powstrzymaniem moralnego upadku społeczeństwa, który szkodzi nam najwięcej. Powiem pannu otwarcie, że najboleśniejszem jest dla nas stawianie w Paryżu półświatowych piękności na piedestale. Przybiera to rozmiary wręcz uwłaczające uczciwym kobietom, czują się one spohnięte na plan drugi...

— Widoocznie półświatowe damy lepiej umieją zdobywać wpływ inną drogą.

— Ale nie wszędzie jest tak źle. Nie trzeba sądzić Francji po samym Paryżu, trzeba znać prowincję; są tam jeszcze rodziny katolickie, w których panują stosunki patryarchalne, a kobieta otoczona jest szacunkiem, jak w Polsce. Niestety, uczucia religijne nikną tu coraz więcej...

— Skoro jednak nikną, ożył kobiety ograniczyć się mają do służowania, że nikt nie to, na czem pani opiera podstawę stanowiska kobiety i sąłozę rące?

— Nie — i pracować nad religijnem odrodzeniem, które lepszem jest rozwiązaniem kwestyi kobiecej niż emancypacya.

— Więc pani nie podziela zdania, że prawo francuskie krzywdzi kobietę, że nie otacza ją dostateczną opieką? — Za wiele pan odemnie żąda; ja prawa nie studiowałam i studiować nie myślę. Jeśli opieka niedostateczna, to niech się nami opiekują więcej, jak najwięcej — ale niech nie dają nam samodzielnosci!

Po usłyszeniu tego credo, nie pozostało mi nic innego, jak słozły należne dzięki i życzenia, by następna powieść posłała śladem swej poprzedniczki i uwieczniona została przez francuską akademię. Wykonałem to żegnając się, tem spieszniej, że od stołu, z pracowni, po nad poręcz półodwroconego krzesła, groziło mi wciąż niecierpliwiące się, wychylone z kalamarza pióro.

ROZMAITOSCI.

Zgubna szczerość. Z powodu świętego otwarcia paryskich „Salonów”, dzienniki opowiadają następującą anegdotę. Gręby, będąc prezydentem, musiał, jak jego poprzednicy i następcy, zwiędzać wystawy. Pewnego razu, podczas jednej z takich uroczystości urzędowych, przed jakimś płótnem zawolał:

— Ależ ten obraz jest eskaradny!

Na twarzach obecnych słowa te wywołały zakłopotanie. Prezydent smarkował, że „taki strzeż!” i zwracając się do jednego z ministrów, zapytał:

— Czy to obraz?

— Ten oto pan go malował — brzmiało odpowiedź.

Gręby podał rękę twórcy „eskaradnego obrazu” i z dobroną miną, rzekł:

— W naszej okolicy jest swęcaj, że gdy się chce nabyć towar, to się go najprzód gani.

Podziwiano przytomność umysłu prezydenta, malarski był nieszczęśliwiony a Państwo wzbogaciło się o jedno więcej płótno — w istocie lihe.

Wspólne święcone. Związku koleżeńskich seminarzystek i nauczycielek odbyła się w sobotę 1 maja o godz. 5 popołudniu w szkole Mickiewicza.

Masa załobna na spokój duszy p. p. Augusta i Zygmunta br. Romaszkanów odprawiona zostanie we wtorek dnia 4 b. m. o godzinie 9 rano w kościele św. Mikołaja.

Do Karlsbadu wyjechał jako lekarz ordynujący tamże dr. Gustaw Toeffer.

Sezon zabaw letnich (sport wioślarski, jazda na łożach, gry towarzyskie) na stawach panieńskich otwartym zostaje w sobotę 1 maja o 4 popołudniu.

MIKOŁAJ LUDWIG
Lwów ulica Akademicka 13.